



CZAS I JA ROBIMY TO SAMO

Kiedyś spytała siostrzeńca, który bawił się klockami, co robi. Zmroził ją spojrzeniem i wycedził przez zęby: „Nie wiem, dopiero zacząłem”. Dziś się zastanawia, jak mogła o to zapytać! Przecież sama podążyła za materiałem, nie wiedząc, co ją czeka na końcu. Monika Patuszyńska, badaczka porzuconych tematów i nieprzetartych ścieżek – co zbiera i dokąd wędruje?

tekst: Agata Kiedrowicz tekst: Monika Patuszyńska, Grzegorz Stadnik, Imants Klidzejs

LUBIĘ WIEDZIEĆ, CO JEST W ŚRODKU Nie wiadomo, co było pierwsze. Miłość do ceramiki czy do Duńczyka, który pięknie toczył na kole i równie pięknie tego uczył. Monika po liceum pojechała do Danii zdobywać wiedzę o rzemiośle ceramicznym. – Zaczęłam od toczenia gliny na kole, kopanym, napędzanym siłą mięśni. Chciałam być elementem łańcucha: głowa myśli, ręce kręcą, noga steruje. Potrzebny był mi taki obwód energii, udział całego ciała w procesie wytwarzania – tłumaczy. Potem, na studiach na wrocławskiej Akademii Sztuk Pięknych, Monika przeszła przez wszystkie techniki ceramiczne, lepienia nie cierpiała od zawsze. – Im więcej ograniczeń, tym bardziej mnie to kręci: odnajdywanie dróg w zastanych granicach i przesuwanie ich dalej. W lepieniu zawsze przeszkadzało mi to, że wszystko można, że nie ma żadnej granicy. Mnie inspirują ograniczenia – podkreśla.

Według sztuki ceramicznej najpierw wykonuje się model, prototyp naczynia, potem powstaje gipsowa forma (negatyw), z której wielokrotnie odlewa się za pomocą masy lejnej – najczęściej porcelany – serię naczyń. Monika przez pierwszą dekadę swojej twórczości odlewa „porządnie, jak trzeba”, tworzy serwisy (między innymi nominowany do nagrody Dobry Wzór IWP serwis dla Zakładu Porcelitu Stołowego „Pruszków”), przez miesiąc pracuje w fabryce „Książ”. Ma pomocnika, modelarza, z którym łamią głowy nad skomplikowanym projektem. Gdy w końcu znajdują rozwiązanie, znowu czuje to samo: jaki jest sens dalszych poszukiwań, skoro można wszystko? Bo skoro rozwiązała tę zagadkę, rozwiąże i kolejne.

Monika zaczyna pracę z samymi formami. Tnie, piłuje, tłucze. Żeby zajrzeć do środka, zorientować się, czego chce materiał. Zajrzeć pod podszewkę, rozerwać gładką strukturę, włożyć palec do rany. Zaczyna od szwów. To z nimi od wieków bezskutecznie zmagają się ceramicy i technologowie. Gipsowa forma, z której odlewa się naczynia, jest podzielona na dwie części. Porcelana, która wpłynie do szczeliny, a potem utwardzi się w piecu, od początku ma inną strukturę niż reszta naczynia. Szwy usuwa się w dalszej obróbce, uważane są za defekt, efekt uboczny całego procesu. – Szwy były dla mnie pierwszą okazją, by zajrzeć do środka. Szczeliną, przez którą mogłam się wślizgnąć, wejść i zobaczyć – mówi artystka.

Ceramicy często pracują z masą plastyczną, najczęściej gliną. Monikę interesuje postać płynna – masa lejna, zazwyczaj pod postacią porcelany. Forma do odlewania nie musi być gipsowa – może być nią każdy materiał, który absorbuje wodę. Można odlewać w piasku, bochenku chleba, chrupkach kukurydzianych.

LUBIĘ MYŚLEĆ O RZECZACH OD DRUGIEJ STRONY Teraz formy Monika od razu robi w negatywie, nie ma modelu. Potem odlewa pozytyw. – A może to, co odlewam, jest negatywem tego mojego wnętrza, które jest pozytywem? – zastanawia się. – Masa lejna doskonale wpisuje się w to, co robię – dodaje.

Misy (NonFormy, 2009) wzięły się z myślenia od drugiej strony. Gdy się na nie patrzy, przychodzi na myśl zanurzenie gąbki w porcelanie. – Ja robię odwrotnie: na resztki chrupka czekoladowych wylewam masę lejną i całość wypalam w piecu. Masa wypełnia wszystkie szczeliny, chrupki się wypalają, zostaje sama struktura, kręgosłup przestrzeni pomiędzy. Inną techniką bym tego nie osiągnęła – tłumaczy artystka. – W gipsie zafascynowało mnie to, że z wierzchu jest gładką formą, natomiast gdy pęka, ujawnia całą wewnętrzną strukturę, pełną napięć i autonomicznej hierarchii zastygania. Nie mogę tam zajrzeć, wlewam więc porcelanę. I potem oglądam tę przestrzeń w postaci obiektu. Fascynujące jest wydobywanie na wierzch tej niewidocznej struktury i to, że mogę ją zobaczyć. Że w ogóle mogę zobaczyć, co jest w środku.

LUBIĘ RZECZY (I SPRAWY), KTÓRE MAJĄ TYLKO MNIE Artystka mówi, że na równi z przestrzenią ważny jest dla niej czas. – Wszystkie teksty, projekty podpisuję współrzędnymi czasu i miejsca. Mój biogram to opis przypadków, których ważność odczuwam dopiero z perspektywy czasu. Gdy kiedyś podsumuję moją pracę, zadedykuję ten proces przypadkom mojego życia.

Życie i praca Moniki rozgrywają się punktowo. Jak spotkania z ludźmi – mocne, ale tymczasowe „sojusze”, trwające w określonym tu i teraz, często niespodziewane. Tego nauczyły ją częste podróże i zagraniczne rezydencje – by kolekcjonować

Lubię pozwalać prowadzić się przypadkom. Lubię przypadki, bo wierzę, że pojawiają się, kiedy świat na moment przymyka oko, traci czujność i odstępstwa prawdę o sobie.

Monika Patuszyńska, Bastards & Orphans



doświadczenia i dobre chwile z ludźmi. Praca w bezpiecznych, laboratoryjnych warunkach rezydencji artystycznych, gdzie nie zajmuje się sprawami codzienności, pokazała jej także, że nie interesuje ją kolekcjonowanie, posiadanie własnych prac, a ich tworzenie właśnie w danym miejscu i czasie.

LUBIĘ RZECZY, KTÓRE MAJĄ KOLOR Prace Moniki mają głównie zastaną barwę materiału. Z czasem pojawił się kolor. – Ostatnio mam poczucie, że gdy coś jest białe, brakuje mu bytu, namacalności. Że jest duchem, że mniej istnieje. Zaczęłam używać koloru, by mocniej zaznaczyć obecność – tłumaczy. – A ten przychodzi intuicyjnie, jest wypadkową szerokości geograficznej, zastanych obrazów, światła. Błękit jest z Filadelfii, żółty z Chin, różowy z Hiszpanii. Kolor to wynik odczucia miejsca: chodzę, robię mnóstwo zdjęć i nagle wiem, jakiej użyć barwy. Gdy potem analizuję zdjęcia z konkretnego miejsca, okazuje się, że prawie na każdym ujęciu jest detal w danym kolorze.

Żółty zbulwersował samych Chińczyków, choć paradoksalnie to tradycyjny kolor ceramicznego szkliwa. Ostatnią fascynacją Moniki jest róż – wściekły, drapieżny, graffiarski. Najbardziej kontrowersyjny kolor naszych czasów, który od barwy zarezerwowanej dla chłopców i biskupich szat w efekcie komercjalizacji stał się kolorem dziewczynek, gejów i idiotek, wszystkich poza władzą i stereotypowo postrzeganą normą. – Niedawno na wernisażu moja przyjaciółka z Belgii nałożyła sobie na talerz górę różowych ciastek; okazało się, że ma ogromny deficyt różu, bo w dzieciństwie była ubierana na niebiesko, jej brat bliźniak zaś – na różowo. Moje ostatnie prace to totalne destrukty: odrzuty, deformacje, pęknięcia. Jedyne kolor, jaki do nich pasuje, to właśnie róż – uzasadnia Monika.

LUBIĘ BYĆ OSTATNIA Monika była ostatnią projektantką w nieistniejącej już fabryce w Pruszkowie, ostatnią kuratorką Międzynarodowego Sympozjum Ceramiki Porcelana Inaczej. Bywa ostatnia w opuszczonych fabrykach porcelany. Na przykład w Fabryce Porcelany „Książ” w Wałbrzychu. Zbudowana w latach 70. ubiegłego wieku, była ostatnim podrygiem marzeń o potęgę polskiej porcelany. Miała głównie eksportować

na rynek amerykański, ruszyła z istic amerykańskim rozmachem – i tylko nikt nie przewidział załamania się rynku i ekspansji chińskiej produkcji. Hektary przemysłowych hal równie spektakularnie zaczęły zarastać, niszczyć. – Chodziłam po Książu jak po industrialnej rajskiej wyspie. Ptaki śpiewały, myszy się rodziły, myszy umierały – wspomina Monika. Przyroda przejęła fabrykę we władanie, torowiska zarastały paprociami niczym w tropikach, woda drążyła tunele, podobno można było nawet zobaczyć jelenia i stado saren. Miejsce totalne. – Długo przyjeżdżałam, by po prostu tam pobyc, porozmawiać z panem Leszkiem, który mnie wpuszczał do fabryki, zapuścić się w przemysłową dżunglę. I zaczęłam wpadać na porzucone gipsowe formy, te wydrążone przez wodę. Zreflektowałam się, że natura robi z nimi to samo co ja: wpuszcza wirusa w coś kontrolowanego przez człowieka. Natura drąży gips poprzez wodę, kurz eksploruje gips na miarę kurzu, ja robię to, rozbijając formy i odlewając z porcelany. Czyli ja i czas robimy dokładnie to samo, tylko na swój sposób – opowiada.

Orphans, czyli sieroty, to byty pofabryczne, stworzone z form z opuszczonych fabryk. Bastards to hybrydy odłamków form z różnych miejsc i czasów, zwożonych przez Monikę z całego świata. Ten cykl się rozrasta, artystka odwiedziła fabryki w Wałbrzychu, Katowicach, manufakturę Royal Boch w Belgii i Spode w Wielkiej Brytanii. – Czuję się współtwórcą tych form, razem z materiałem. I czasem. Fakt, że powstają, to efekt uboczny moich poszukiwań. Muszę je wypalać, żeby zyskały materialną, rynkową wartość. W idealnym świecie, w którym nie musiałabym się martwić o rachunki, robiłabym tylko odlewy, podążałabym za materiałem, dzień po dniu – deklaruje. Przypominam tu sobie bliski estetycznie wyciekającej spod formy porcelanie kosmopolityczny zakwas piekarniczy, o którym kiedyś wspominała Monika Walecka. Podróżuje z nim po całym świecie, dokarmia go innymi bakteriami. Im więcej tych żywych kultur, tym lepszy, bogatszy w smaku i teksturze chleb. Tak jak Bastards Moniki. Artystka pilnuje tej nazwy, bo uważa, że język stwarza tożsamość i nadaje wartość. Czas jest tworzywem. – I to, jak go używasz – puentuje Monika. ❧